

Jak przegrał król Marchewka ol — Kazjuno

Od autora: To taka historyjka z zamierzchłych czasów. Kto by je tam pamiętał,, (jeszcze nikomu się nie śniły telefony komórkowe, a internet - to już w ogóle).

Jak Przegrał król Marchewka

Jest to historia oparta na prawdziwych wydarzeniach, nawiązująca do zamierzchłej przeszłości, do lat sześćdziesiątych.

Nietrudno zauważyć, że mali chłopcy w swych marzeniach bywają walecznymi rycerzami, odważnymi lotnikami czy dzielnymi kowbojami walczącymi o sprawiedliwość w obronie słabszych. Lubią utożsamiać się z postaciami wielkimi i niepospolitymi.

To prawie reguła. Rodzice, najczęściej zupełnie bezmyślnie podtrzymują te marzenia. Kupują dzieciom plastikowe automaty, szable, pióropusze i pistolety. Byłoby to uzasadnione, gdyby u swego potomstwa zamierzali hodować charaktery żołnierzy i wojowników, ale najczęściej tak nie jest. Po co urzędasowi umiejętność szybkiego strzelania? Lekarzowi maszynowy pistolet a handlarzowi kapustą zimna krew trafiającego w głowę z paruset metrów snajpera.

Czy tak musi być? Nie koniecznie. Zresztą niech się martwią o to psychologowie i pedagodzy.

Dziunek Marchewka nie miał ojca. Dzieciństwo jego było pewnie cięższe niż rówieśników, ale nie mniej piękne. Miał wujka. Ten, co prawda, nie usiłował zastąpić ojca, lecz przychodził od czasu do czasu. Jego wizyty stawały się wydarzeniami. Raz przyniósł piękny pokryty chromem korkowiec. Ten przystojny kruczowłosy mężczyzna był kiedyś utalentowanym zapaśnikiem. Teraz opowiadał chętnie o swoich walkach, w czasie których zmagał się z przeciwnikami o rzadko spotykanej sile. Kiedyś wygrał nawet z Mrągiem. Mrąg to nie byle kto. Raz był nawet wicemistrzem Polski. Swój tytuł zawdzięczał nieludzkiej sile. Krążyły o nim legendy, jak to kiedyś rozpędził zabawę, ponoć miał na swoim koncie nieumyślne spowodowanie śmierci. Ale wujek Leon dał mu radę.

- Spryt się liczy, synku - mówił pokazując jak zakłada się zapaśniczy krawat, suplesa i inne chwytty. Młody Marchewka patrzył jak urzeczony na wspaniałego wujka. Był pojętym uczniem. Na łące wyuczonymi chwytami wywracał starszych od siebie chłopaków. Oczywiście, zyskiwał uznanie. Trudno czymś bardziej zaimponować niż sprawnością i siłą.

Dziunek dorastał, a wujek przychodził coraz rzadziej. Raz wracając z zakupów zobaczył leżącego w rynsztoku posiwiąłego mężczyznę, obwąchiwał go bezdomny pies. Dziunkowi mocniej zabiło serce.

To niemożliwe, pomyślał. Chciał odejść, ale się zawahał. Spojrzał ponownie. Pijak podniósł głowę i patrząc mętnymi oczami na zaciekawionych przechodniów, wymamrotał z wysiłkiem:

- Spierdalać, bo jak...

Dziunek oddalił się szybko. Czy to wujek Leon? Nie dopuszczał do siebie takiej myśli.

W zawodówce nauka szła mu źle. Mało się uczył. Pasjonował go sport. Często wdawał się w bójki. Matce tłumaczył, że zawziął się na niego magister Giczak. Być może, iż chorego na wrzody Giczaka drażnił niechętny do nauki rozrabiaka Marchewka.

W tym czasie coraz intensywniej trenował kulturystykę. Jego ulubionym zajęciem było napinanie przed lustrem spuchniętych od ćwiczeń mięśni. W czasie tych, nie raz godzinę trwających, umizgiwań (jak

określała to matka) uruchamiał adapter. Miał na grających pocztówkach parę dziesiątków big - beatowych szlagierów. Jemu i paru innym kolegom za salę ćwiczeń służyła poniemiecka pralnia. Zmagali się ze sztangielkami, sztangą wykonaną z kół od wąskotorówki połączonych rurą i innym żelastwem. Wyciskanie sztangi w leżeniu, podrzut, rwanie, ćwiczenia na najszerszy grzbietu, dwugłowy i trójgłowy ramienia, czworogłowy uda - wszystko według zaleceń Stanisława Zakrzewskiego autora książki „Jak stać się silnym i sprawnym”.

Marzył, by dorównać tym, których zdjęcia zamieszczano w „Sporcie dla wszystkich”. Miał już osiemnaście lat, z trudem ukończoną szkołę zawodową. Mógł pójść do technikum lub do pracy. Nie mógł się zdecydować. Termin zapisu do technikum minął, na pracę nie miał ochoty. Marchewkowa, właścicielka budki z jarzynami zarabiała nieźle. Pracowała po całych dniach. Synowi nie poświęcała zbyt wiele czasu. Pocięszała się jak mogła: - Dziunek to dobry chłopak - myślała. Wyszumi się, a po wojsku ustatkuje i da sobie radę.

Teraz na lato, gdy nie ulegało wątpliwości, że na jesień miał iść do wojska, kupiła mu kremowy garnitur. Z dumą patrzyła na spacerującego, w opiętym garniturze, czarnej koszuli z białym błyszczącym krawatem, kawalera. To był jej syn.

Dziunka rozsadzała energia. Trzeba było szukać sposobów, by dać jej upust, ale gdzie? W swoje siły uwierzył podczas bójk na weselu Janka Kumysa ze Słotwiny. Trzej tysięjący bracia panny młodej nie spodobali się Dziunkowi już pod kościołem. Potem rozpychali się w tańcu. Kiedy jeden z nich chlusnął panu młodemu w twarz szklanką wódki, przebrała się miara. Każdy zamachowy sierp Dziunka posyłał „do krainy marzeń” braci panny młodej, Nierzoniów. To był sukces. Poznał i docenił siłę swojej pięści. Od tego czasu był regularnie uczestnikiem zabaw oraz dancinów w reprezentacyjnej knajpie Dzierżoniowa - „Centralnej”. Przychodził tutaj w określonym celu: szukał zwady. Wśród podchmielonych gości nietrudno było o przeciwników. Takie życie, czy to jego wina, że i innym alkohol dodaje odwagi. Bił silnie i celnie. Z utarczek wychodził zwycięsko. Wszyscy młodzi bywalcy zabaw i dancinów patrzyli na niego z respektem. Stawiano mu wódkę, a Marchewka coraz rzadziej odmawiała. Nie ulegało wątpliwości, z kulturysty przekwalifikował się na zabijakę. Jako kulturysta mógł rywalizować tylko z tymi, których oglądał na zdjęciach w gazecie, na uznanie i sukcesy nie chciał czekać, musiał je mieć zaraz, teraz już. Co miał robić? Popularności szukał w „Centralnej”. I znajdował. Był coraz bardziej znany, dzięki twardym pięściom - on Dziunek vel. pan Ździchu. W swoich oczach awansował na sprawiedliwego szeryfa, championa i wirtuoza walki. Szedł przez rynek, stukał wysokimi obcasami, rozgrzewała go wypita w „Smakoszu” setka, a co chwila rozlegało się: „- Cześć Ździchu”, „Się masz Dziunek”, „Jak zdrowko, panie Ździchu.”

To było to! Ilu zazna takiego uczucia? Te z respektem składane wyrazy szacunku były niczym innym jak hołdem składanym jego krzepie. Rzeczywiście w Dzierżoniowie bali się go wszyscy zawadiacy. To przyjemne, coś na kształt władzy, a już na pewno mile łechtana próżność. Nikt mu tutaj nie podskoczy. Przyzwyczajął się do tego. Dancingi, knajpa a tam wszędzie dziewczyny i tylko przebierać jak w ulęgalkach. Miał prawo cieszyć się życiem. Świat po alkoholu był mniej problemowy.

Na trzeźwo coraz bardziej irytowało go biadolenie matki.

- Jestem stara i chora – mówiła. - Ty silny chłop, mógłbyś pracować. Źle się z tobą Ździchu dzieje. Przychodzisz podpity, włóczysz się po nocach. Za co ty pijesz? - Zastanawiała się. - Przecież ode mnie niewiele bierzesz.

Kończyło się lato 1967 roku, co dla Dziunka oznaczało koniec wysiadania całymi dniami na basenie. Było to jego lato. Dużo pływał, grał w siatkówkę, podrywał dziewczyny i rznął w karty. Całkowicie zniechęcił się do mozolnych i monotonnych treningów „złomem”. Mięśniowcy przestali mu imponować. Zmieniały się czasy, zmieniały się mody. Nie ukazywał się już „Sport dla Wszystkich”. Podśpiewywano inne przeboje, pojawili się inni piosenkarze. W świecie szaleli Beatlesi, nie mniej znani byli Rollingstoni, w kraju największą popularnością cieszyły się „Czerwone Gitary”. Młodzi chłopcy woleli zapuszczać

długie włosy niż mozolnie pracować nad rozwijaniem mięśni. Zapuszczanie włosów nawet do połowy pleców nie wymagało specjalnego wysiłku, tylko trochę czasu, pół roku, może rok, cóż to jest w porównaniu z wysiłkiem, na jaki Dziunek musiał się zdobyć by w ciągu czterech lat rozwinąć biceps do 42 centymetrów.

Pewnego dnia, było to pod koniec września, kiedy zaprawiony powracał do domu, zatrzymał się przed drewnianymi schodami prowadzącymi na ganek mieszkania. Na myśl o rozmowie z matką zakręciło mu się w głowie. Nie spotkał nikogo, kto by mógł mu postawić. Przepił więc pieniądze przeznaczone na uiszczenie kolegium za oddawanie moczu w miejscu publicznym. Rozmowy nie dało się uniknąć. Postanowił udawać bardziej pijanego niż był w istocie zwalić się na łóżko od razu po wejściu. Wtoczył się w drzwi, odbił od stołu i opadł na łóżko. Matka żwawo krzątała się po kuchni. Doszedł go zapach pieczonego indyka.

- Dostałeś, synu, kartę wcielenia. Razem z biletem do jednostki!

„Król Centralnej” - bo tak ochrzczili go koledzy po bójce, w której pobił za głośno zachowujących się konsumentów ze Świdnicy - został powołany do armii.

Ile dni jeszcze zostało? Niewiele, a tyle spraw do załatwienia! Wczoraj umówił się z Baską, dziewczyna ma przyjechać za kilka dni, w ostatnią niedzielę - niezbyt solidnie jak na firmę „Król Centralnej”, stłukł pewnego badylarza spod Dzierżoniowa.

O powołaniu do wojska w pierwszej kolejności poinformował swego najlepszego kompana Wacka Piwowskiego. Był on dla Dziunka kimś w rodzaju adiutanta. O łagodniejszym charakterze, mniej zadziorny, służył przeważnie za obstawę, by nikt nie wtrącał się do bójek. Dobrze żyło mu się przy Dziunku. Łatwiej było o dziewczyny, a jako bliski kolega cieszył się nietykalnością. Miał on wielką zaletę - inwencję w znajdowaniu niezłych pomysłów rozrywkowych.

- Skoczmy do Wałbrzycha - zaproponował.

Była pierwsza sobota października. Przez chwilę „pierwsza piącha Dzierżoniowa poczuł się zakłopotany. Ze swego miasteczka, jak dotąd, nie wyjeżdżał prawie nigdy. Wahał się. Posypały się argumenty o młodzieżowym lokalu, jakiego jeszcze ponoć nie widział. Wacek mówił entuzjastycznie o zespole grającym jak prawdziwi Beatlesi a za ostateczny argument posłużyła sugestywna opowieść, nie pozbawiona pornograficznych detali, o dziewczynach łatwych i ubranych jak modelki w telewizji.

W Wałbrzychu poczuli się nieswojo. Ich opięte kremowe garnitury na tle luźniejszych i swobodnie noszonych marynarek wałbrzyskich elegantów wydawały się prowincjonalne i niemodne. Nikt nie nosił sztywnych od lakieru butów „bitelsówek” z prywatnych sklepów. Wydawali się niezgrabni i kanciąści. Pewniej poczuli się wypiszy dla kurażu w bramie butelkę zbyt słodkiego wina „Mistella”.

- Syrop - skrzywił się Marchewka.

Za „lepszym” winem przemówił argument, że jak taka lalka poczuje w tańcu zapach buraka, to można nie mieć lotu.

W drodze do „Zetemesu”, bo tak swój lokal nazwali młodzi Wałbrzyskanie, wstąpili jeszcze do wypełnionej swojskim gwarkiem „Kielczanki”. Tam mdłą słodycz wina splukali, wlewając do gardeł po „setce” wódki.

Z „Zetemesu” rozlegało się dudnienie big - beatowego zespołu.

- Ale klasa grają. - Nie Dziunek? - Zachwycił się podrygujący przy wejściu Wacek.

- No, nieźle. - Potwierdził z uznaniem Marchewka.

Na parkiet weszli zawadiackim krokiem. Władczo jak na dancingu w „Centralnej” ogarnęli wzrokiem dużą salę. Umilkła orkiestra i nieliczni jeszcze tancerze schodzili z parkietu.

Parę ładnych dziewcząt siedziało przy stoliku obok podwyższonej estrady, na której grała orkiestra.

- Chodź tam koło nich. - zaproponował Wacek półgłosem.

Stukając głośno obcasami szli przez parkiet, w jakby nadmuchanych garniturach. Piwowski miał rozchylone ramiona, jak mocarze, którym nadmiar mięśni utrudnia ich opuszczenie.

- Popatrz jakie podkute burasy. – Zaszcebiotała piskliwie, siedząca w gronie wyróżniających się dziewcząt, szczupła szatynka do tlenionej blondynki z dużym biustem.

- Cha, cha - zarżała podpita piękność a razem z nią dwie inne o makijażach upodabniających je do dewizowych prostytuttek. Siedzący z nimi brunecik milczał, gdyż sadowiący się obok przybysze z Dzierżoniowa swym wyglądem wzbudzali respekt.

- Czego się, kurwy, śmiejecie? - Wybuchnął urażony Marchewka. Na moment zapanowała cisza.

- Zaraz się mogę postarać, żeby pan opuścił ten lokal – oburzyła się jedna z nich.

Piwowski usiłował łagodzić incydent. Nie potrafił nawiązać rozmowy. Wyglądało na to, że u dziewczyn nie mieli szans. Byli wściekli. Właściwie wyprawa do Wałbrzycha straciła sens.

- Puknąłbym temu gogusiowi - powiedział Ździchu do kompana, usłyszawszy stłumiony śmiech brunecika.

Przyjrzał mu się dokładnie. Kiedy tamten poczuł na sobie spojrzenie osiłkowatego przybysza, natychmiast zamilkł i odwrócił głowę.

Tymczasem na salę weszli dwaj roześmiani młodzieńcy. Wyróżniali się niedbałą elegancją. W Dzierżoniowie nikt tak się nie ubierał. Z nonszalancką swobodą przeszli przez środek parkietu.

- Zobacz jakie aparaty – powiedział Piwowski.

- Raz w dziób i po aparacie – skonkludował Marchewka.

- O oo! - Powitała ich uradowanym głosem jedna z dziewczyn przy sąsiednim stoliku. Wasowski i Klęciasty.

- Cześć, dziewczyny – powiedział dostojnie jeden z dwójki aparatów.

- Siadajcie, dawno was nie było – przymilnie zapraszała, któraś z tamtych. – Fajnie było w Warszawie?

- Warszawiaki z Wałbrzycha - syknął z nienawistną ironią Piwowski.

- Chodź do tej „Kielczanki”. Napijemy się po małej wódce – zaproponował zrezygnowany Marchewka.

Cóż mogli wybrać w tej chwili innego? Ruszyli. Wtedy ryknęły spotęgowane wzmacniaczami brzdęknięcia gitar. Zespół grał z werwą melodię Beatlesów „There were the days”. „Warszawiaki” porwali dziewczyny do tańca. Za nimi pośpieszył brunecik. Na parkiecie czuli się nadzwyczaj swobodnie. Podnieceni byli muzyką, poruszali się pewnie, niemal władczo, zupełnie jak Marchewka po zwycięskiej bijatyce pod „Centralną”, gdy oblizawszy zranioną pięść zaczynał dziki taniec z Kryską – dzierżoniowską Brigitte Bardot. „Gdzie naszej Kryśce do tej tlenionej z dużym cycem” – nasunęła się Wackowi refleksja, gdy spoglądał na rozmarzoną tańcem Wałbrzyszanekę.

Mieli już za sobą wódkę w „Kielczance”. Należało coś przedsięwziąć. Przecież nie można było tak wracać.

- Słuchaj Ździchu, widziałem w rogu dwie niezłe sztuki.

Wódka przyjemnie grzała. Jakby zapomnieli o ochrzczeniu ich mianem podkutych burasów. Myśleli o tamtych dwu z rogu sali. Przechodzili właśnie przez korytarz. Naprzeciw zobaczyli nadchodzących „Warszawiaków”. Ci skręcili do ubikacji.

Marchewka szturchnął w łokieć adiutanta. Ruszyli za nimi. Wasowski i Klęciasty już sikali.

- Ty, superman! – zwrócił się Dziunek do uśmiechniętego Wasowskiego.

- O co chodzi – zdziwił się zagadnięty.

- Spuść se ten kołnierz!

Wasowski pobladł. Milcząco oddawał mocz, jakby nie zwracając uwagi na intruza. Od razu zdał sobie sprawę, że ten osilek szuka zaczepki. Co mógł zrobić? Zachować spokój. Nie stchórzył. Już parę lat boksował i choć jako bokser nie miał szczególnych wyników, to wszyscy wiedzieli, że trenował. Nie mógł się dać zastraszyć. Bijąc w worki i gruszki, wylewając w czasie treningów wiadra potu, teraz wiedział że przed nim niełatwy sprawdzian. Teraz szybko analizował sytuację. „Najpierw zapiąć rozporek. Ten łobuz to kawał chłopca. Trzeba go mocno huknąć. Podłoga jest mokra i śliska, muszę mocno i pewnie stanąć.”

- No nie słyszałeś gamoniu? – powtórzył „Król Centralnej”.

- Bo co? – zapytał naiwnie Wasowski.

- Bo ci dopierdolę – zabrzmiała groźba.

Bokser napięty wewnętrznie, skoncentrowany, choć blady, udał zamiar wyjścia i ominięcia Marchewki. Był to jednak zwód. W pół kroku wystrzelił prawym sierpem w szczękę dzierzoniowskiego zabijaki. Marchewką rzuciło o ścianę. Rozległo się pięć następujących po sobie kłaśnieć, przypominały rozbijanie schabowego tłuczkiem na desce, lecz były znacznie głośniejsze. Ździchu aż przysiadł w kącie obok pisuaru wycierając kremowym garniturem nawilżoną uryną ścianę. Z rozbitej wargi ciekła mu krew. Był zamroczony, ale nie znokautowany.

Resztę zabawy przesiedział w rogu sali i płukał usta przyniesioną przez Piwowskiego wodą mineralną. Nie dawał za wygraną.

- Ja cię jeszcze załatwię – obiecał bokserowi wystrojonemu na modnego warszawiaka.

Postanowili dokończyć walkę po zabawie, przed klubem.

Wasowski ubezpieczył się towarzystwem obecnego na zabawie, boksującego w wadze półciężkiej Ryśka Lecha.

- Chodź tutaj - pokazał Ździchu ciemną bramę prowadzącą na nieoświetlone podwórze. Tamten zawahał się.

- Nie zgadzam się. Chcę walczyć w świetle.

Otoczyli ich koledzy Wasowskiego. Wielu ich było. Ździchu nie poradziłby sobie z nimi w Dzierzoniowie przed „Centralną”, a co dopiero tu, na wyjeździe.

- A co tam, zresztą. Zacząłem – powiedział Marchewka wyciągając rękę.

Najazd dzierzoniowiaków na Wałbrzych skończył się fiaskiem.

Pierwsza piącha Dzierzoniowa sezonu 66/67, po odbyciu służby wojskowej, założył rodzinę. Został ojcem rozkosznego czarnego chłopca, który - jak stwierdziła Marchewkowa - podobny jest jak dwie krople wody do świętej pamięci wujka Leona. Marchewka uczył go zapaśniczych chwytów. Czy malec został zapaśnikiem? Tego autor się nie dowiedział. Może chuligańską gwiazdą paru sezonów. Przez jakiś czas pan Ździchu przynosił dla syna szable, pióropusze i pistolety. Raz kupił mu pudło klocków Młody Budowniczy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 13.11.2018 20:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.